

„Legenda” – zmyślenie i prawda

Nieufność wobec zmyślenia w rozmaitych jego ujęciach narracyjnych wyrażają w języku potocznym takie określenia, jak „mit” (gr. *mythos*/μῦθος), „konfabulacja” (jej źródłostów łaciński, tj. *fabula* – synonim „mitu”) czy „fikcja” (łacińska *factio* pochodzi od czasownika *ingere*, tj. „fingować”). Rodzimą nazwą zmyślenia jest „baśń” (po czesku *básník* to „poeta”), zaś „bajanie” to niekoniecznie „gadanie od rzeczy” czy oszustwo. Pierwotny sens tego rodzaju określeń nie ma więc zabarwienia koniecznie ujemnego, wprost przeciwnie. Kojarzyć się bowiem one mogą raczej z twórczością „literacką”, zwłaszcza z beletrystyką, której fikcyjność właśnie sprawia czytelnikom przyjemność, bo zaciekawia, pobudza wyobraźnię itd. Można też – jak w krótszej od baśni, parabolicznej „bajce” (jej grecka nazwa to też *mythos*), czyli opowieści o zwierzętach, której wynalazek przypisano Ezopowi – zawrzeć pouczenie, czyli morał. Twórcami mitów byli bowiem w śródziemnomorskim kręgu kulturowym nie kapłani, lecz poeci (*poietes* po grecku to twórca właśnie) i aoidowie, o których już bardzo dawno Solon, sam też poeta, twierdził, że „wiele zmyślają”. Myśl tę zresztą już wcześniej zawarł w *Theogonii* Hezjod. Od samych Muz miał usłyszeć, kiedy uczyły go śpiewu (czyli poezji) u podnóża Helikonu, iż wiedzą, „jak głosić kłamstwa liczne, do prawdy podobne” (przekład Jerzego Łanowskiego). Namysł nad nieufnością człowieka rozumnego wobec fikcji wydaje się dzisiaj wcale aktualny. Idea (a może raczej ideologia?) „post-prawdy” odzwierciedla bowiem nie zawsze tylko sceptycyzm poznawczy, lecz raczej bezradność, albo jeszcze częściej lenistwo umysłowe podmiotu poznającego, skazanego na wolność wyboru, a więc i na ponoszenie odpowiedzialności za skutki tego aktu. Starożytni filologowie zajmujący się pytaniem o wartość poznawczą zmyślenia poetyckiego, potem zaś – w średniowieczu i w epoce wczesnonowożytnej – ich pojętni uczniowie doceniali obecną w owych „zmyśleniach”, poza ich urokiem, także wartość poznawczą. Zmyślenie bowiem (*fabula*) może być istotą alegorii, czyli – jak to ujmowali humaniści – swego rodzaju, „łupiny” ukazującej czytelnikowi czy słuchaczowi coś innego jeszcze niż ukryte w jej wnętrzu „jądro prawdy”.

Są jednak i takie zmyślenia, których „morał” – jeśli nie ogóle jakiś z nich wynika – dość bywa mętny i prowadzący do nieporozumień, a satysfakcja z ich powtarzania bywa niewielka. Jest to mianowicie tzw. „legenda”. Nadużywamy tego określenia dzisiaj na potęgę, zazwyczaj dla uwznioślenia tematu i jego „bohatera”. Pełno go wszędzie w dyskursie publicznym: sportowym, artystycznym, nawet „celebryckim”, a przecież wielu nie zdaje sobie sprawy z jego pierwotnego sensu. Wyraz „legenda” jest wyrazem łacińskim i w tradycji chrześcijańskiej znaczy: „[teksty] wybrane do czytania”. Wywodzi się on z dawnej kultury oralnej, w której ktoś jeden tylko umiał czytać, a reszta (zazwyczaj analfabeci) słuchała. Nawiasem, współczesna kultura popularna znowu wiele ma z takim stanem rzeczy wspólnego. Otóż czytano przed wiekami na głos wiernym teksty „budujące”, zazwyczaj oparte na hagiografii, tj. na historycznych opisach żywotów świętych. Dlatego wyraz „legenda” skojarzył się pierwotnie z tematem narracji podniosłym, czasem heroicznym. Ważniejszą jednak od sensu religijnego była dla słuchaczy dominująca w tych popularnych narracjach bajeczność. Utożsamiano ją z cudownością religijną, która od tej pierwszej różni się jednak zasadniczo. Bajeczność polega na czarach, na magii, która „zmusza” siły nadprzyrodzone do działania – *vide*

opowieści o Fauście czy o „naszym” panu Twardowskim. Cudowność religijna natomiast „działa” w odwrotnym kierunku. Cud (*miraculum*) jest w narracji hagiograficznej odpowiedzią Łaski na modlitwę, czyli na prośbę konkretnej osoby. Wspominam o tym dlatego, że w kulturze popularnej, także obecnie, funkcjonuje szczególny gatunek narracji też nazywany potocznie, acz niesłusznie, „legendą”. Jest to mianowicie tzw. „podanie”. Nie jest ono rozbudowaną beletrystycznie baśnią, która tradycyjnie ma „pouczać i bawić” (*docere et delectare*). Nie jest też faktycznie legendą heroizującą postać świętego czy świętej, powiązaną genetycznie z kultem religijnym. Podanie jest potomstwem ciekawostki. Poczęte bywa po to, aby przydawało sensacyjnych szczegółów pogłosce, obchodząc przy tym racjonalną procedurę namysłu i przystając na fantastyczne domysły. Struktura tak sprofanowanej „legendy”, czyli podania, jest zawsze uniwersalna. Rozbudowuje ono wieść o wydarzeniu, do którego nie przystaje naukowy ani religijny komentarz, a które jako ciekawostka obrasta rozwiniętą fabułą. Owszem, niektóre takie podania, wymyślane przez poetów i kronikarzy, bywały „uświęcane” i podnoszone do statusu mitu założycielskiego. Jednym z prototypów, na których się potem przy konstruowaniu podań wzorowano, była zapewne Wergiliuszowa *Eneida*, w naszej zaś historiografii bajecznej były to podania o Krakę, smoku wawelskim, o Wandzie, o Piaście, Popielu etc.

Są również – zwane również niesłusznie „legendami” – opowieści o zasięgu lokalnym, miejskim. Takim jest np. „objaśnianie” genezy krakowskiej zabawy w „lajkonika”, czyli corocznie od XVIII w. odbywanego pochodu, otaczającego osobę przebraną w malowniczy, egzotyczny strój niby-tatarski. Pochodzenie tego widowiska skojarzono z boleśnie wpisanym w naszą historię trzynastowiecznym najazdem Mongołów na Małopolskę, dopisując do tego inne jeszcze podanie o trębaczach i o przerwanej tatarską strzałą hejnale krakowskim. Otóż pochod „lajkonika” historycznie z najazdem Mongołów nie ma nic wspólnego. Najprawdopodobniej wywodzi się on z docierających do Małopolski przez Śląsk ludowych, środkowoeuropejskich cechowych zwyczajów świętowania nadejścia wiosny w orszaku „bełkot-króla” (niem. *Lällenkönig*). Dodatkowym składem karnawałowej konwencji tej zabawy jest tradycyjne określenie towarzyszących w pochodzie owemu „lajkonikowi” i raczących się po drodze piwem „włóczków” (czyli flisaków wiślanych) mianem „mlaskotów” (tj. bełkotliwie hałaśliwych). Podaniu natomiast o krakowskim hejnalistcie dopisał „legendy” ciąg dalszy Ksawery Pruszyński w znanym opowiadaniu *Trębacz z Samarkandy*. Taka bywa właśnie geneza i dynamika gatunku zwanego „legendą miejską”. Jej przykładem jest sensacyjna pogłoska o wawelskim „czakramie”. To znowu projekcja marzeń o „magicznej” szczególności Krakowa i o nadzwyczajnych („uzdrawiających”?) właściwościach tego miejsca (*genius loci?*), tak jakby mało było codziennych komunikatów o lokalnym, raczej nieuzdrowiskowym stanie powietrza w tym mieście. Dynamika jednak „legendy miejskiej”, przekształcającej się w podanie, a potem w zbeletrizowaną narrację (np. w tzw. *urban fantasy*) czerpie siły z ludzkiej ciekawości, z nienasyconego nigdy i niczym pragnienia kontaktu z niezwykłością, wreszcie z nieokielzanej rozumnym namysłem wyobraźni. Dlatego można takim zmyśleniom, gdy się kiedyś przekształcą w beletrystykę, wróżyć długi żywot.

ANDRZEJ BOROWSKI